

WŁADYSŁAW KUPISZEWSKI

Warszawa

WSPOMINAM NIEDAWNO ZMARŁEGO MOJEGO PRZYJACIELA – PROFESORA DOKTORA JANA BASARĘ

Po zakończeniu prac dialektologicznych warmińsko-mazurskich I. Pracownia Dialektologiczna PAN, kierowana przez prof. Witolda Doroszewskiego, podjęła nową pracę. Rozpoczęła mianowicie ogólnopolskie badania słownictwa gwarowego. Zaplanowano także i prowadzono badania fonetyczne i słowotwórcze, ale te ograniczono do terenu Mazowsza.

Jeśli idzie o gwarowe badania leksykalne, to wybrano na początek z *Kwestionariusza do badań słownictwa ludowego*¹, (bo ten był podstawą gromadzenia materiału), kilka działów leksykalnych, które już miały „swoich opiekunów”, a tym samym przyszłych autorów opracowań i w zakresie tych działów prowadzono badania. Były one udziałem pracowników Dialektologii oraz pracowników Zakładu Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego, którego kierownikiem był także prof. Doroszewski, a badania te przypadły na lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku.

Na takie badania pojechałem z moim bliskim kolegą, z przyjacielem – Janem Basarą tuż przed wakacjami i przed żniwami (bodajże w czerwcu 1958 roku), kiedy jeszcze na wsi nie było nawału pracy i chłopci, jako informatorzy, mogli nam poświęcić na rozmowy dialektologiczne więcej czasu. Wyruszyliśmy na Pomorze Zachodnie pociągiem jadącym do Szczecina, ponieważ terenem naszych penetracji językowych były Ziemie Odzyskane. Badaliśmy bowiem aktualnie powstające gwary mieszane ludności repatriowanej ze Wschodu i przesiedleńców z Centralnej Polski.

Pociągiem dojechaliśmy do Stargardu Szczecińskiego, a następnie przesiedliśmy się na motor WFM, czyli na tak zwaną *wuefmękę* (tak nazywano wówczas żartobliwie ten typ motoru), który w Warszawie nadaliśmy na bagaż i dojechaliśmy nad wieczorem do pierwszego naszego punktu, do pierwszej naszej wsi – Lisowo, pow. Stargard Szczeciński, gdzie nazajutrz rozpoczęliśmy badania. Prowadziliśmy je dość sprawnie i owocnie, a to dzięki Jasiowi, który miał rzadko spotykaną, dużą łatwość w nawiązywaniu z ludźmi przyjaznych kontaktów. W mig zjednywał sobie sympatię, przychyłość

¹ Praca zbiorowa pod red. Witolda Doroszewskiego, ZNiO Wrocław 1957, wyd. PAN, t. I-IV.

i gotowość pomocy ludzi, którzy, jako informatorzy, udzielali nam, a przede wszystkim jemu, dużo wiadomości dotyczących zagadnień gwarowych, o jakie pytaliśmy. Dzięki właśnie Jasiowi i ja spotykałem się z życzliwością ze strony informatorów, a to ogromnie ułatwiało prowadzenie badań, bo przecież w terenie bywało różnie. Trudne niekiedy były te badania, zwłaszcza w PRL-u, w czasach pełnych nieufności i podejrzliwości. Ilekroć się spotykaliśmy się z odrzuceniem, odmową rozmowy z nami.

Zdarzało się i tak, że ludzie wypowiadali takie i podobne zdania: *pytoće nos o take žecy, a pevńe xceće do kouxozu namuwić?* Bywało różnie.

Dlatego też umiejętność zdobywania zaufania i życzliwości informatorów (a taką miał Jaś) była ważna i bardzo pomocna.

Z badań na Ziemiach Odzyskanych byliśmy bardzo zadowoleni, układały nam się pomyślnie. Zebraliśmy bowiem ciekawe materiały. Dość szybko przemierzaliśmy się z punktu do punktu, czyli z jednej wsi do drugiej w naszej siatce badań. Od Starogardu zmierzaliśmy w kierunku południowo-wschodnim, zbliżając się do Poznania. Po prawie dwutygodniowym okresie pracy zamierzaliśmy zbadać jeszcze jedną wieś i wracać do Warszawy, tym bardziej że jak dotąd wszystko nam się pomyślnie układało i zrobiliśmy dużo.

Dobra passa długo jednak nie trwała, nie towarzyszyła nam do końca naszych terenowych zmaganiań.

Dwa dni przed zakończeniem naszej pracy badawczej, kiedy już nikły mrok przed wieczorem rozścielał się po ziemi, jechaliśmy do wsi, gdzie chcieliśmy zakończyć naszą pracę. I wtedy chyba moment mojej nieuwagi spowodował, że wpadliśmy na dużą gałąź leżącą na jezdni, która wkręciła się w motor i poczyniła wydatną szkodę. Nam, na szczęście, nic poważniejszego się nie stało. Wyszliśmy z wypadku szczęśliwie i cało, ale motor wymagał naprawy.

Jaś więc poszedł do pobliskiej wsi szukać jakiegoś „specjalisty”, który by naprawił, co potrzeba, a ja tymczasem rozkręcałem motor, by go uwolnić od gałęzi. Po niedługim czasie wrócił Jaś i zakomunikował, że znalazł jakiegoś kowala, i ledwo go „uprosił”, by ten zgodził się dokonać tej naprawy, no i że czeka na przyprawienie motoru. Naprawa trwała długo, ponad trzy godziny, ale i zapłata była niespodziewanie duża, chyba proporcjonalna do czasu naprawy.

Ten przykry oraz niespodziewany wypadek i bardzo duży dla nas koszt naprawy motoru pokrzyżował nasze plany i zmusił nas do „straszliwej” oszczędności resztek pieniędzy, bo obecnie najważniejszą rzeczą był dla nas powrót do Warszawy. Czy teraz coś złego w drodze się nie stanie? Czy starczy pieniędzy na benzynę, czy szczęśliwie dojedziemy do domu? Takie dręczyły nas pytania. Jedzenia już nie planowaliśmy. Przed nami rysował się jednodniowy, ścisły post. Ale tymczasem jesteśmy jeszcze na Ziemiach Odzyskanych w miejscu wypadku. Tu przenocowaliśmy.

Na drugi dzień udało nam się sprawnie wykonać naszą pracę, czyli zbadać ostatnią wieś przed Poznaniem, ale już o jeździe do Warszawy nie było mowy. Było zbyt późno, by się na to decydować.

Postanowiliśmy więc ominąć Poznań i zatrzymać się na nocleg w pierwszej wsi, do której dojedziemy. Tak też się stało. Sołtys zaprowadził nas do pewnego gospodarza i zlecił przenocowanie nas.

Z kwatery byliśmy zadowoleni, bo na pierwszy rzut oka wydawała nam się w miarę zadbana, czysta i zasobna. Tu spodziewaliśmy się, że nas potraktują jako gości i poczęstują czymś do jedzenia, tym bardziej że przygotowali się do kolacji (sądząc po częściowo już zastawionym stole). Prosić o to nie chcieliśmy, bo to zobowiązuje do zapłaty, a to w naszej sytuacji koniecznego oszczędzania było niewskazane. Tak więc Jaś zaczął przygadywać się i próbował wykorzystać swoją umiejętność zdobywania „miłości czy życzliwości bliźniego”, ale ta okazała się wobec niechęci okazywanej nam przez gospodynię domu i przez eksponowane jej skąpstwo zbyt mała, aby wywołać odpowiedni efekt. Jaś więc zakończył swoją akcję dość ostentacyjnie słowami: *Władku, masz tu witaminę, niech ci za kolację służy* (i wręczył mi dwie pastylki witaminy).

Na drugi dzień obudzono nas raniutko (zgodnie z życzeniem) o godzinie czwartej. A spaliśmy w stodole na sianie. Spakowaliśmy nasze rzeczy, pożegnaliśmy gospodarzy dziękując im za „gościnę” i z udawanym zadowoleniem wyruszyliśmy w drogę do Warszawy. Wcześniejszy wyjazd zapewniał nam częściowe uniknięcie przedpołudniowego upału. W Sochaczewie zrobiliśmy postój. Tu kupiliśmy kilka litrów benzyny zapewniającej dojazd do celu, a za resztę pieniędzy cztery bułki (na tyle tylko starczyło pieniędzy). Zjedliśmy je z wilczym apetytem, bo wynagradzały nam ścisły post poprzedniego dnia, to znaczy niejedzenia śniadania, obiadu i posilenie się tylko „witaminową kolacją”.

Okolo 10 godziny zmęczeni i głodni dobiliśmy do Warszawy. I w ten sposób zakończyliśmy nasze badania na Ziemiach Odzyskanych.